

O góralu, który przechodził przez kładkę



Tatry na starej fotografii.

Romuald „Aldek” Roman

Biały Potok, który wyrzeźbił wapienne, strome zbocza Doliny Białego w Tatrach, tylko trochę zwolnił bieg, wypływając z regli i wijąc się wśród pagórkowatych łąk i lasków wokół biednej góralskiej uliczki Małe Żywczańskie. Choć już nie ograniczały go wapienne skały, tylko łupkowate zbocza parowu, on nadal pędził między zaroślami łośnianów, rachitycznymi krzakami i kępami świerków.

Na Żywczańskim mieszkali górale. W każdym razie w czasach, kiedy byłem dzieckiem i bogate cepry wołały budować swoje nowobogackie jednorodzinne domy (przed wojną nazywali je willami i pensjonatami) w bardziej prestiżowych miejscach, w sąsiedztwie parku i Krupówek. A przy wąskiej zabłoconej uliczce stały biedne chaty z przynależnymi do nich oborami, koło których pasły się chude krowy, a groźne białe psy szarpały łańcuchy, jakby chciały zagryźć każdego idącego drogą. Na

otaczających Małe Żywczańskie łąkach w lecie pachniało sianem, które górali suszyli na ostrewkach, a wiosną i jesienią śmierdziało gnojem z przydomowych poletek.

Tam, gdzie prowadząca do Krupówek ulica Tetmajera dochodziła do Małego Żywczańskiego, nad potokiem przerzucono kładkę. Zrobiono ją domowym sposobem z kilku świerkowych pni, trochę tylko zestruganych siekierami od góry, tam, gdzie się chodzi, i z pojedynczymi rozchwianymi poręczami po obu stronach, takimi, żeby dopomóc idącemu w utrzymaniu równowagi i żeby nazywało się, że są, ale żeby przypadkiem nie liczyć, iż wytrzymają nacisk, gdy ktoś mocniej się oprze. Kładka opierała się od strony Tetmajera na resztkach muru, który inżynier Scherer wybudował, by zakotwiczyć koniec otaczającego jego willę ogrodzenia, aż przy samej wodzie, a z drugiego końca na podobnym kamiennym obrzeżu, którym malarz amator Weseli bronił swego podwórka przed podmyciem przez rwący potok. Murki za bardzo nie pomagały, bo po każdym większym deszczu woda porywała kładkę i niosła ją w dół, w stronę zagrody Wrześniaków, albo jeszcze dalej, aż w chaszczce koło Jaworowego Dworu. Trzeba było wtedy odbudować przejście przez potok i górale przychodzili z siekierami, i ciosali, klęli, narzekali, ale pracowali dzielnie i naprawiali mostek w ciągu dwóch, trzech dni. Żli byli bardzo na potok, że im porwał kładkę, ale odbudować ją musieli, ponieważ łączność z ulicą Tetmajera i Krupówkami umożliwiała im sprzedawanie ceprom mleka i serów, jak również kupowanie alkoholu w sklepie przy ulicy Witkiewicza.

Nasz dom, który wtedy nie był już naszym domem, tylko został przez państwo ludowe przemianowany na Dom Wypoczynkowy Funduszu Wczasów Pracowniczych Roztoka, stał przy ulicy Tetmajera pod numerem 26, czyli w połowie drogi pomiędzy skrzyżowaniem z ulicą Grunwaldzką a potokiem i kładką, o których napisałem już całe trzy akapity. To położenie gwarantowało wszystkim jego mieszkańcom oglądanie i przede wszystkim słuchanie nocnych migracji górali.

Ach, cóż to był za folklor! Cisza zakopiańskiej nocy – i nagle, o drugiej nad ranem pod samym oknem, z siłą stu dwudziestu decybeli i smutku utraconej miłości rozdzierała ją pieśń.

Regle, nose regle,

utra-a-a-co-o- ne regle!

Kie jo se zaś-piewom,

to mi sie rozle-e- gnie...

A to góral wracał do domu i z żalu, że wieczór zakończył się tak wcześnie, albo z tęsknoty za do połowy wypitą, ostatnią ćwiarteczką wódki, która jeszcze była w kieszeni spodni, ale już bardzo niedługo mu się skończy, a może ze strachu przed czekającą go w domu babom ukazywał światu, Tatrom i obudzonym w środku nocy wczasowiczom całą swoją żalność.

A gdy skończył śpiewać, *Regle*, robił się zły, i silny, i zadziorny. I już nikogo się nie bał, ani kolegów, ani „kurwa-ceprów”, ani nawet baby. I śpiewał dalej:

Ej, pójdźcie, kurwa, kłopczy,

ej, krew się będzie lała!

Ej, czerwona posoka

po ścia-a-a-nach sikała!

I leciała pieśń wojenna! I siła w niej była taka, że martwe nietoperze spadały z nieba pod nogi górala! I drżeli ze strachu wczasowicze, a zakopiańczycy - i ci, którzy od dziecka w Zakopanem wychowani, a nawet ci, którzy już byli drugim pokoleniem „kurwa-ceprów”, - zamykali zasuwę i przekreślali zamki, żeby drzwi były podwójnie zamknięte, na wypadek, gdyby góral zaczął ciupazecką się dobijać.

A góral nic sobie nie robił z tego, co o nim myślą w domach wczasowych, a nawet na samej komendzie milicji obywatelskiej, bo nikogo się nie bał, bo miał w jednej kieszeni scyzoryk, a w drugiej ćwiartkę, a jak świat światem, gdy ta trójca się zejdzie: góral, scyzoryk (ewentualnie siekierka) i ćwiarteczka cystej, to ni ma takiej siły, która by się ostała!

Chyba że...

Chyba że akcja ma miejsce tam, gdzie ulica Tetmajera staje się uliczką Tetmajera, a potem zamienia w gliniastą stromą dróżkę opadającą nad Biały Potok. Dróżka to wąska, z obu stron wymyta przez deszcze, tak że gdy człowiek już na nią wejdzie, to

jak ten pociąg na szynach - nie ma ucieczki, musi schodzić, zbiegać, staczać się prosto w stronę kładki nad potokiem. A szybkości nabiera się przy tym zbieganiu od razu, bo taka stroma ta ścieżka, że pod górę na rowerze nie da się nią wjechać i trzeba rower prowadzić. A śliska... Jezu! Na wiosnę i jesienią zawsze mokra glina. W zimie - śnieg i lód.

Nie w rozpędzaniu się po ścieżce największe jednak niebezpieczeństwo, lecz w trajektorii tego rozpędzania. Zaskoczony nagłą zmianą konfiguracji terenu człowiek nie biegnie dokładnie po linii, lecz jakby naśladowując funkcje sinusoidy, przemieszcza się z jednego brzegu parowu na drugi. I albo ma szczęście, albo go nie ma. Jeśli ma szczęście, to z rozpędem trafi na kładkę, a potem uda mu się jakoś przelecieć po śliskich pniach i nie wypaść do potoku. A jeśli nie ma szczęścia, to przebiegnie, przeleci obok kładki i chlust do potoku! Albo zmieści się pomiędzy poręczami, wbiegnie na kładkę, ale poślizgnie się, wyłamie barierkę i do potoku!

I tak to dzieckiem będąc, obudzony z niewinnych snów mrozącym krew w żyłach góralskim zawodzeniem, nie bałem się, nie wchodziłem pod kołdrę i nie uciekałem do mamusinego łóżka, tylko biegłem do okna, wystawiałem głowę na nocne powietrze i nasłuchiwałem oddalających się odgłosów właściciela ciupazecki. Śpiew i wojownicze okrzyki cichły z wolna, w miarę jak góral był coraz dalej od mojego okna, o pięćdziesiąt metrów... o sto... aż nagle cisza... Cisza, bo przecież plusku z takiej odległości nie słyhać. Szczególnie gdy plusnęło na dole, w jarze potoku.

A potem krzyk gniewu i rozpacz! Najczęściej: „O kurwa!”. A potem jęki gramolenia się jak ten Syzyf po śliskich, wymytych łupkach i przekleństwa podczas wpadania z powrotem do wody.

Aż po kilkunastu minutach wszystko cichło.

Bo, jak mówiła moja babcia: „Nic się złego pijakowi nie stanie, bo Pan Bóg opiekuje się pijakiem”, więc i góral koniec końców gramolił się z potoku na brzeg. A ja wracałem do łóżka i zasypiając, marzyłem sobie, że góralowi nie udało się wyjść z potoku i gdy rano pójde na kładkę, to ciągle jeszcze będzie siedział w wodzie w tych swoich bukowych portkach i wyklinał, i rzucał w dzieci kamieniami.

fragm. książki „Zakopiański Dom Wariatów”.

Książkę Romualda „Aldka” Romana „Zakopiański Dom Wariatów” można kupić przez księgarnie internetowe, takie jak Empik czy Gandalf.

Pojawił się też czytany przez autora audiobook dostępny na [audible.com](https://www.audible.com) i [amazon.com](https://www.amazon.com).

Autor prosi czytelników, którzy przeczytali jego książkę lub wysłuchali audiobooka o podzielenie się na stronach [audible.com](https://www.audible.com) i [amazon.com](https://www.amazon.com) swoimi wrażeniami.